

O hippizmie i Aleenie Gingsbergu

ze Szczęsnym Wrońskim rozmawia Andrzej Pietrasz

Andrzej Pietrasz: – Kiedy zaczęła się u Ciebie przyгода z hippizmem?

Szczęśny Wroński: – To było jesienią 1969 roku, studiowałem wtedy Prawo na UJ. Spotykałem ich na Plantach, koło bunkra lub pod Adasiem. Byłem chłopcem z szarej prowincji, ciągnęło mnie do wielkiego, barwnego świata. Już wtedy trochę pisałem, ale z tamtego okresu prawie nic mi nie zostało – jakiś taki nowo-młodo-polski skowyt do wolności, do wyrażenia bez skrępowania siebie. I tu pojawili się hippisi, zupełnie jak z bajki; kolorowi, ruchliwi, roztańczeni, rozśpiewani.

– I to wpłynęło na to, że związałeś się z hippisami?

– Właśnie to. Bajkowość, jakby nierealność istnienia. Poprzez nich zobaczyłem inny świat. Ci ludzie byli ze sobą bardzo blisko, dzielili się wszystkim, co posiadali. Seks traktowali jak chleb powszedni. Pamiętam, jakim szokiem było dla mnie wyznanie hippiski, w której się zakochałem, powiedziała – wiesz, dla mnie seks jest jak podanie ręki... gdy spojrzalem na nią nieco dziwnie, to dodała – My buntujemy się przeciw mieszczańskim schematom... No właśnie, poszedłem za nią i to dla niej porzuciłem studia i ruszyłem z hippisowską misją w Polskę... Reminiscencje tego misjonarstwa można znaleźć w mojej powieści „Wolna miłość” napisanej w latach osiemdziesiątych, a wydanej i nagrodzonej w roku 2000. Ale z drugiej strony przyczyniły się do tego moje związki ze środowiskiem dysydenckim, atmosferą antykomunistycznego buntu. Uczestniczyłem w tajnych spotkaniach, kolportowałem ulotki... W grudniu 1971 roku zostałem wezwany, dzięki życzliwości donosicieli, do kwatery głównej SB, która mieściła się wówczas przy Placu Wolności. Przeżyłem tam zaledwie kilkanaście godzin, które zaważyły na moim życiu. Miałem do wyboru: współpracę lub... trudno powiedzieć co. Jakoś intuicyjnie wydukałem im, że właśnie rzucam studia i nastąpił przełom w akcji, ku mojemu zdumieniu, wypuścili mnie. Koszmar tamtego przesłuchania kotłował się we mnie przez wiele lat, stąd też moja gwałtowna reakcja na wieść o udokumentowanej współpracy z SB siedmiu członków Prezydium Zarządu Głównego ZLP. Po nieudanej próbie nakłonienia ich do dymisji, zrezygnowałem z funkcji prezesa Krakowskiego Oddziału ZLP, tym samym z uczestnictwa w zarządzie (14.03.2009 – w Dzienniku Polskim z 17 marca br. ukazał się wywiad: „Poeta nie chce współpracować z byłymi agentami SB”. Nieco później zrezygnowałem z członkostwa w ZLP. Niedługo ukaże się moja kreatywna powieść „Konsultanci. Powiastka intelektualno-gienitalna, czyli rzecz o inwigilacji, manipulacji, masturbacji, totalitaryzacji oraz innych perwersjach tego i nie tego świata”. Akcja rozpięta jest między totalitaryzmem stanu wojennego, a totalitaryzmem medialnym i ekonomicznym, którego doświadczamy dziś na naszej „wolnej” skórze.

– Jak Allen Ginsberg i jego poezja odbiła się w ruchu hippisowskim w Polsce?

– Trudno to jednoznacznie ocenić. Z całą pewnością można powiedzieć, że jego obecność była wyraźnie odczuwalna. Funkcjonował jednak bar-

dziej jako postać niemal mityczna, bohater przekazywanych z ust do ust opowieści. Mówiło się o nim, cytowało fragmenty jego wierszy, jednak faktycznie niewielu hipisów знаło w całości nawet jego osławiony „The Howl” („Skowyt”), który wykrzykiwał w ekstazie na hippisowskich campusach świata. Wtedy przecież nie był w Polsce drukowany, nawet nie wiem, czy ukazało jakieś ulotne tłumaczenie, a przeciętna znajomość angielskiego była raczej mizerna. Fruwały w powietrzu jego „granitowe chuje”, samobójcy „powiewający genitaliami nad dachami”, czy też ofiary przemocy „kopane w brodę przyrodzenia”. W pamięci tamtego pokolenia obecne jeszcze były tłumione miasteczki zamieszki studentów i robotników w wielu miastach Ameryki i Europy, co osiągnęło apogeum w mieście Meksyk, w dzielnicy Tlateloko w dniu 2 października 1968 roku, na tzw. Placu Trzech Kultur, gdzie na pięć dni przed otwarciem Olimpiady, siły porządkowe otworzyły ogień i zginęło co najmniej 300, a niektóre źródła podają, że nawet do kilku tysięcy demonstrujących robotników i studentów. Masakra trwała całą noc, strzelano do przypadkowych przechodniów.

Przypomnijmy sobie scenę finałową musicalu „Hair” z lat sześćdziesiątych, spopularyzowaną później przez film M. Formana – tysiące luf karabinów wycelowanych w jednego, bezbronnego człowieka. To się, niestety, nie przedawniło. W marcu 2009 roku spektakl został wznowiony na Broadwayu, przyjęto go entuzjastycznie, a krytycy nowojorscy pisali, że jego wymowa „jest ostrzejsza niż kiedykolwiek”. A dopiero co, 24 stycznia 2010 roku, odbyła się premiera w Teatrze Muzycznym Capitol we Wrocławiu, co również świadczy o aktualności i sile wzbierającej, drugiej fali hippisowskiego buntu i rzuca też odświeżające światło na poezję i postawę poety-guru z tamtych lat – Allena Ginsberga.

Znane hasło „Make love not war”, wywiedzione z protestu przeciw wojnie w Wietnamie, dotyczyło również nienawiści między ludźmi zrodzonej z rażącej dysproporcji jaka gwałtownie zaczęła się rysować z powodu różnic majątkowych, politycznych, rasowych.

– Czy można powiedzieć, że hippisi byli pokłosiem bitników?

– Ja tym poniekąd żyłem i nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Jednak myślę, że tak. Gdzieś w połowie lat sześćdziesiątych pojawił się ruch długowłosych, z pewnością inspirowany bitnikami. W roku 1967 było nas może kilkudziesięciu w Polsce. Byłem jeszcze uczniem szkoły średniej, ale sprytnie zaczesywałem włosy za uszy i udawało mi się wyhodować odpowiednią długość na wakacje. We wrześniu trzeba było przystrzyc, by zapuszczać znowu od wiosny. Długowłosi byli przesładowani, poniżani, zamykami na tzw. 48 godzin do aresztów, gdzie niektórych golono do zera, ale nie poddawaliśmy się. Była w tym jakaś trudna do wytłumaczenia determinacja, może pragnienia ocalenia resztek osobistej wolności? Włączając się po Polsce od czerwca do września, zwiedziłem wiele komisariatów, a w roku 1968, w wakacje, zamknęli mnie na miesiąc, po rozprawie w kolegium ds. wykroczeń, w Centralnym Więzieniu w Gdańsku pod zarzutem „przebywania na terenie Trójmiasta bez zameldo-

wania”. Rodzina myślała, że utonąłem w morzu, bo rano wyszedłem na plażę z domu znajomych w Gdańsku-Brzeźnie i zniknąłem. Spóźniłem się wtedy trzy tygodnie do szkoły i przedłożyłem dyrekcji zwolnienie z więzienia. Do dziś pamiętam osłupienie nauczycieli. Jednak wziąłem się do roboty, maturę zdałem całkiem nieźle i dostałem się na Wydział Prawa UJ... Powracając do sedna pytania – Józek Pyrz, czyli Prorok, był bitnikiem we Francji stamtąd przywiózł ten styl, czy może ideę. Wydał manifest, który kiedyś czytałem i chyba pamiętam jego początek: „Był plot, a za plotem był drugi plot, i było gówno, koniec końca”. Ta konstatacja przekazywana była z ust do ust i praktycznie wszyscy ją znali... Przez pewien czas żyłem u niego w Warszawie, w komunie. Myślę, że to temat na odrębną opowieść.

– Czy brałeś udział w zlotach hippisowskich organizowanych w Polsce. Podobno złoty zaczynały się od czytania „Skowytu” Ginsberga i „Hymnu do miłości” św. Pawła. Czy możesz coś powiedzieć na temat?

– Złoty jakoś zawsze mnie omijały. Być może z mojej wrodzonej niechęci do zorganizowanych spędów. Raz tylko zahaczyłem o zlot w Chęcinach, pamiętam go mgławicowo. O św. Pawle bezpośrednio chyba się nie mówiło. Z recytacją „Skowytu” spotykałem się sporadycznie, a i tak nie mam pewności czy to nie była narkotyczna improwizacja, bo co tu ukrywać (nie jestem politykiem, ani znanym profesorem), brało się różne rzeczy i to miało wpływ na specyfikę widzenia. Ale największą inspiracją była muzyka, przede wszystkim The Doors, Cream, Jimmi Hendrix, Janis Joplin – to był powiew wolności, zarzewie buntu. Byłem na pierwszej dyskotekie w Polsce, w „Musicoramie” w Grand Hotelu w Sopocie w lecie 1970 roku, prowadzonej przez Franciszka Walickiego. Dzisiaj pamiętam ten entuzjazm i szal w migających światłach nieznanych dotąd stroboskopów. Drugim takim miejscem muzyczno-ideologicznym był sopocki klub muzyki młodzieżowej „Non-Stop”, zainicjowany również przez Walickiego, gdzie przez okres wakacji spotykała się spragniona spontanicznej zabawy młodzież. Gospodarzem był Krzysztof Klenczon, a występowały tam polskie zespoły „beatowe” (tak się to kiedyś określało), Czerwone Gitary, Czerwono-Czarni, Niebiesko-Czarni, Breakout, Czesław Niemen i wielu innych. Tam spotykało się młodzież z całej Polski, nierzadko z zagranicy, tutaj również tłumnie zjeżdżali hippisi na przełomie lat 60/70. Kontestacja to tylko jedna strona hipisowskiego medalu, a po tej drugiej byli po prostu młodzi ludzie, którzy chcieli spotykać się i dyskutować na poważne tematy, ale też bawić się żywiołowo. Nierzadko zdarzało się, że milicja robiła na nich łapanki, funkcjonariusze „kopali ich w brodę przyrodzenia”, zamykali do aresztów, znęcali się psychicznie, zdarzały się nawet gwałty, ale to była cena jaką młodzi ludzie płacili za długie włosy, ekstrawagancki kolorowy ubiór i niechęć do agresji. W hippisowskich rozmowach często pojawiał się Gandhi i jego idea biernego oporu. Przeciwno czemu? Myślę, że przeciw schematom, nietolerancji, nienawiści. I tu duch poezji Ginsberga, nawet

(Dokończenie na stronie 4)